

głupia jest. Ale ona nie jest głupia ani durna (bo wszystko rozumie), tylko „słodka”. A może nawet i słodka nie jest, bo słodyczy boi się jak diabeł święconej wody. Gdy dzieckiem była, pewien towarzysz w mundurze dał jej lizaka, co było podziękowaniem za słowa Darusi na temat niekochających Sowietów nocnych gości ojca. Pan z lizakiem mówił, że władzy sowieckiej nikt nie oszuka. Teraz, gdy ktoś we wsi krzyknie „ciuciu”, głowa boli Darusie jeszcze bardziej niż na co dzień, gdy tak umiarkowanie łeb jej ściska z każdej strony i musi obrzęk studzić, stojąc w rzece po pas. A gdy rzekę łód skuje, głową w niego wali.

Z Darusią nikt nie gada, bo ona niemowa, do tego stara już. Więc ona ciągle myśli, od czego głowa boli ją jeszcze bardziej. Mówić może i umie, ale nie chce, bo słowa zło przynoszą. Wie to z dzieciństwa. Pod nosem piosenek nie śpiewa, bo tacy jedni nucili narodową ukraińską *Czerwoną kałynę*, to ich Sowietci na Sybir pognali. I przepadli bracia jak kamień w czeremoszniacką wodę. A mowę Darusi wraca tylko przy grobie ojca, z którym rozmawia i „ojczenaszkę” na wszelki wypadek zmawia. Boi się grób odwiedzać zbyt często, by nikt nie doniósł, że mówić umie, bo wtedy, nie daj Bóg, wyjdzie, że ani durna, ani słodka nie jest. A strach przed Sowietami ją trzyma, mimo że już w wolnej Ukrainie żyje, a przynajmniej od Związku Sowieckiego niepodległej.

Tak zaczyna się „dramat codzienny”, pierwsza część książki Marii Matios, ukraińskiej pisarki dojrzałego pokolenia. Nad Dnieprem i Czeremoszem *Słodka Darusia* pojawiła się kilka lat temu i wstrzeliła się w „pomarańczowy” nurt historii, obrany przez ukraińskiego patriotę w galicyjskim stylu Wiktora Juszczenkę. Swoją prezydenturę skierował on ku historii i podjął nieudaną próbę zjednoczenia narodu wobec kwestii

Przeklęta słodycz



Maria Matios, *Słodka Darusia*, tłum. Anna Korzeniowska-Bihun, wydawnictwo Andrzej Bihun, Warszawa 2010

Czeremoszniackie gaź-dziń mówią, że Darusia

tragicznych represji stalinowskich z lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku, w tym Wielkiego Głodu, wskutek którego zginęło kilka milionów Ukraińców. U Marii Matios też pojawiają się Sowietci, funkcjonariusze bezpieki, czerwoni agenci. Jest Ukraińska Powstańcza Armia, która do późnych lat czterdziestych stawia zbrojny opór, atakując Sowietów we wsiach i miasteczkach, wychodząc nocami na połoniny z gęstych i ciemnych lasów. OUN-owcy nie tylko przeprowadzają akcje dywersji, ale przychodzą też do zwykłych mieszkańców po żywność, by zwalczać głód panujący w ich szeregach. Przyjdą i u Marii Matios.

Po codziennym jest dramat wcześniejszy. A w nim do młodej natenczas Darusi niejaki Iwan Ćwiek przychodzi, przystaje i żyć z nią zaczyna. Władzy sowieckiej nienawidzi, bo mu Sowietci matkę zabrali po wojnie, pobili, zakatowali, chatę zabrali, jego sierotą uczynili. A że to dramat wcześniejszy, to sowiecka władza panuje na huculskich połoninach, gdzie na drumli grać się człowiekowi nie chce, bo takie czasy, że lepiej niesie się dźwięk trombity żałobnej niż weselnej hucułki. Iwan podpada władzy, bo Darusie normalną czyni, sprawia, że z psami na cmentarz do ojca nie łązi, do drzewa się nie przywiązuje. Trafia więc Iwan na posterunek, gdzie władza radzi, by siedł w świat, jak wcześniej chodził, zanim do Darusiowej chaty trafił. Pech chce, że dobrotliwy sierżant z sowieckimi pagonami daje odzianemu w łachmany Iwanowi nieschodzony mundur i w nim Ćwiek zjawia się u słodkiej Darusi. Niemożna, widząc Iwana w sowieckim odzieniu, przemawia: „Idź, Iwanie”. I w świat z drumlą w kieszeni go wysłała.

Tak przechodzimy do dramatu głównego, lat wojny, a dla górali karpaccich

także okupacji hitlerowskiej i sowieckiej. W dramacie głównym poznajemy historię Darusi, by nie pokusić się o stwierdzenie, że narodu ukraińskiego – tego świadomego, niezrusyfikowanego, niezmadziaryzowanego, niespolonizowanego. Dowiadujemy się, w jakich okolicznościach mowę Darusi odbiera, dlaczego sierotą zostaje i na grobie ojca z nim rozmawia, jaki los spotkał jej matkę, dlaczego ludziom nie ufa, z nikim nie gada, Iwana Ćwieka w świat wysłała.

Ten sowiecki, dogłębny problem, który opisuje Matios, jest jak rozcięcie ciała do kości, z bólem odczuwanym w szpiku. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich. Zapewne nie poczuje bólu młodzieniec w dresie i kaszkiecie, jedzący słońce pod sklepem, pijący piwo z półtoralitrowej plastikowej butelki, plujący łupinkami *siemiczki* i mówiący co drugie słowo *blad!* Ale skoro *Słodka Darusia* zrobiła furorę na Ukrainie, gdzie czytelnictwo literatury wyższej nie powala na kolana, należy mieć nadzieję, że z tożsamością i świadomością naszych ukraińskich braci nie jest tak źle i że „pomarańczowy” nurt kultury i historii rozwija się, mimo że pod „stabilną” władzą Wiktora Janukowycza oraz ministra oświaty Dmytra Tabacznyka nie ma ku temu politycznych warunków. Cieszy, że Maria Matios trafiła do naszych wschodnich braci, by pobudzić ukraińskość – w inny sposób niż piosenkarka o karpaccich korzeniach Rusłana, która w 2004 roku wygrała konkurs Eurowizji, prezentując Europie huculskie *diki tancy*.

Słodką Darusie czyta się świetnie. Prosty, banalny wręcz język, prawdy wiejskich gaździnek, których dialogi pojawiają się w dramatach niczym didaskalia, sprawiają, że historii Darusi słucha się, siedząc na kamieniu, wpatrując się w czysty strumień

i wsłuchując w szumiący las. Gdzieś tam, gdzie szum Prutu, Czeremoszu. Może i jest to przygnębiająca historia, ale jak we wszystkim, co wschodniosłowiańskie, pobrzmiwa w niej nutka optymizmu.

Tomasz Kułakowski

